Recenzja: Gry i zabawy Carotina dla najmłodszych



Powoli mija jesień, pogoda robi się coraz bardziej zimowa, dzień krótszy i zaczynamy szukać atrakcji w domowym zaciszu. Moje dziecko ma już grubo ponad cztery lata, więc jego oczekiwania względem wspólnego spędzania czasu coraz bardziej rosną, a ja zaczęłam szukać alternatyw dla zwykłego rysowania i składania klocków.

Z pomocą na jesienne wieczory przyszła mi firma Dante – producent gier i zabawek Carotina Lisciani ze świetną serią dla dzieci w wieku 3-6 lat. Na pewno świetnie mnie zrozumiecie: o ile dla starszych dzieci istnieje masa gier dostępnych na rynku, o tyle mam wrażenie, że ta grupa wiekowa

jest trochę zapomniana.

Tablica led Carotina

Jako pierwsza chciałabym wam przedstawić tablicę led. Wspomniałam, że potrzebowałam już alternatywy dla zwykłego rysowania i to właśnie ta tablica wyszła naprzeciw moim oczekiwaniom.

Zawartość pudełka:

W pudełku znajduje się tablica led, szablony rysunków, cztery kolorowe pisaki i kartonowa podpórka pod tablicę oraz plastikowe wsporniki.

Zasady:

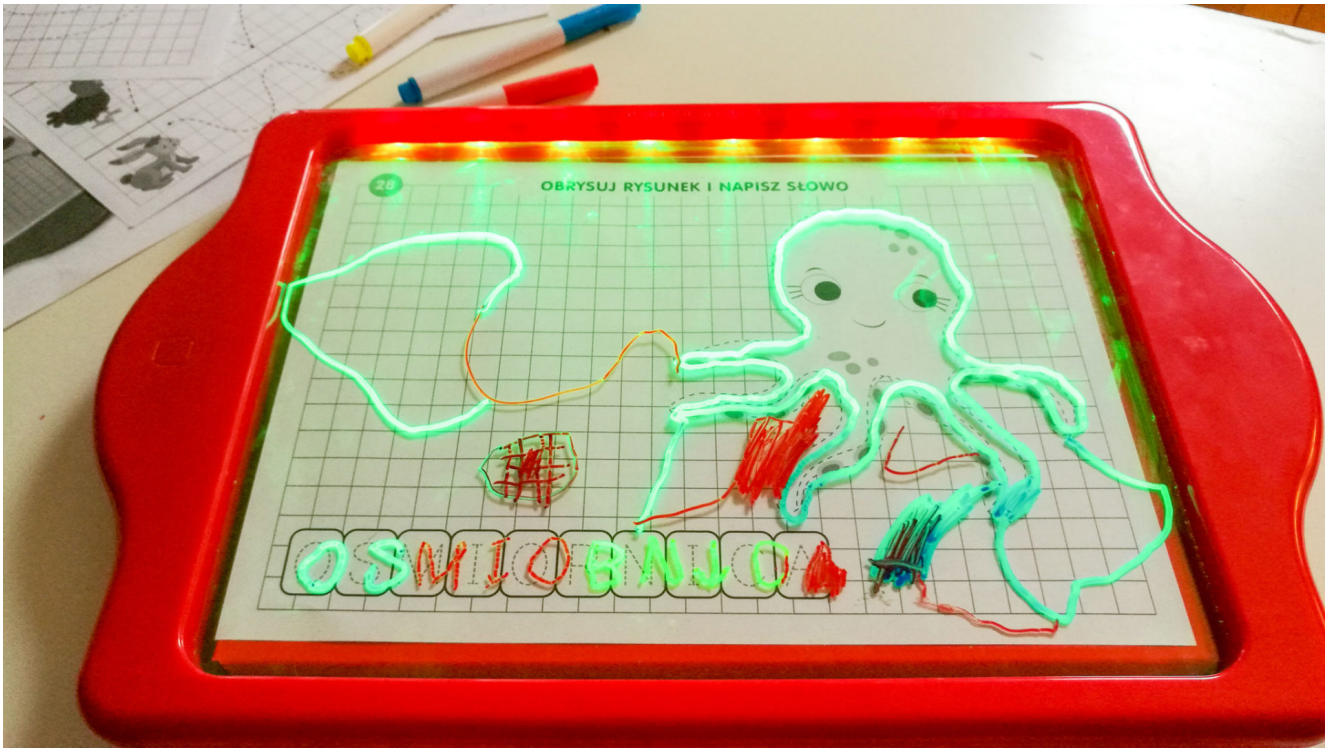
Zasady są banalnie proste. Pod tablicę podkładamy szablon, po którym dziecko rysuje – dokładnie możecie to zobaczyć na filmie, który zamieściłam na dole wpisu. Po skończonej pracy możemy podświetlić rysunek w ośmiu różnych trybach. Atrakcją dla dziecka może być również rysowanie od razu na trybie podświetlenia. Minimum pół godziny spokoju dla rodzica – sprawdziłam!

Korzyści:

Poza spokojem dla rodzica, tablica zapewnia doskonałe przygotowanie do pisania liter i nauki czytania. Możemy pod nią podkładać dowolne inne szablony w formacie A4, co zapewni nam różnorodność na długi, dłuuugi czas. To doskonałe uzupełnienie zadań, które dzieci wykonują w przedszkolu.




28
OBRYSUJ RYSUNEK I NAPISZ SŁOWO
OŚMIORNICA



Gry Carotina: 3000 pytań, Szukaj i znajdź, Gry dla przedszkolaków

Zawartość pudełek i zasady gier:

3000 pytań: plansza, 4 pionki, spinner ze strzałką oraz 63 dwustronnych, interaktywnych kart z pytaniami, na które dzieci starają się znaleźć prawidłową odpowiedź i świecąca Carotina.

Szukaj i znajdź: podstawka, elektroniczny stoper z dwoma trybami prędkości, 200 kart, 20 odznak oraz 4 spinnery

Gry dla przedszkolaków (wersja ze zwierzętami): 48 interaktywnych kart oraz 4 plansz przedstawiających zwierzęta i ich środowiska przyrodnicze, świecąca Carotina

Ogólne wrażenia dziecka i rodzica:

Po pierwsze i najważniejsze, każde pudełko z grą Carotina to nie jedna gra, lecz kilka wariantów, które zapewniają nam różnorodność i brak nudy.

W grze „**3000 pytań**” dziecko ma za zadanie zaznaczyć prawidłowe odpowiedzi na pytania z różnych kategorii. Przy prawidłowych

odpowiedziach Carotina wydaje radosny okrzyk i świeci na zielono. Gra rozwija zasób słów i inteligencję dziecka.

„Szukaj i znajdź” to typowa gra na refleks, w której z dużego stosu kart dziecko ma za zadanie znaleźć tylko te z konkretnej kategorii. Gra rozwija zasób słów, uczy szybkości i cierpliwości.

Gry dla przedszkolaków to cała seria gier rozwijających wiedzę dziecka w konkretnej dziedzinie: języka angielskiego, zwierząt, bajkowych bohaterów czy dopasowywania wyrazów. W każdej z tych gier znajdziemy świecącą Carotinę, za pomocą której dziecko zaznacza prawidłowe odpowiedzi.






START
META






START



Korzyści:

Gry Carotiny zapewniają cały wachlarz ćwiczeń i zabaw dla przedszkolaka. Pomagają mu trenować pamięć, rozwijać zasób słów, uczą logiki, spostrzegawczości i koncentracji. Pozwalają poznać kształty i kolory, a także poprawnie trzymać pisak i rozpocząć naukę pisania i czytania poprzez zabawę i atrakcyjne zadania.

Gry są świetnym wsparciem dla rodziców, którzy szukają pomysłów na zainteresowanie dziecka czymś atrakcyjnym i wciągającym. Gry ze świecącą Carotiną uczą małą rączkę precyzji, ponieważ konstrukcja gry wymaga przyłożenia jej w konkretny punkt, aby odpowiedź została uznana za prawidłową.

Wpis powstał we współpracy z firmą Dante.

Jako matka, gardzę sobą.



Przez ponad cztery lata ja i moje dziecko żyliśmy w błogiej nieświadomości. Ponad cztery lata spokoju, wolności wyboru, zgody lub jej braku na różnorakie wymuszania. Może dlatego, że moje dziecko było młodsze? Może dlatego, że wraz z wiekiem jego inteligencja i świadomość rosną? Może dlatego, że zaczął bardzo intensywnie porównywać się do rówieśników?

A może, kurde, dlatego, że Biedra wprowadziła cholerne SŁODZIAKI?

Temat jest świeży i wypłynął ostatnio przy okazji mojej rozmowy z koleżanką, której zapytałam jak ogarnia zakupy. Bo ja do tej pory miałam pod domem Lidla, a ze względu na

niedawną przeprowadzkę nie mam w pobliżu niczego i usiłuję zgrać logistykę. Odpisała mi, że „ostatnio kupuje w Biedronce (…) – dzieci mają korbę na punkcie Słodziaków – wiadomo.”. Oho. Wyczułam temat. To identyko jak u nas, bo ja też byłam zmuszona tam wejść z moim dzieckiem, pierwszy raz od bardzo dawna.

I to był błąd mojego życia.

Kolejne trzy wizyty zajęło nam wytłumaczenie, przy akompaniamencie dzikiej awantury i ryku, bo on chce JUŻ, NATENTYCHMIAST i TERAZ, że trzeba zbierać cholerne naklejki. Że naklejek trzeba zebrać SZEŚĆDZIESIĄT. W gorszej sytuacji jest koleżanka, matka dwójki, która…

> *Kurła – muszę zebrać 120 tego gówna, bo inaczej mi się pozabijają…*

I nie wiem, czy czujecie grozę sytuacji…

…bo mnie ciarki przechodzą na samą myśl, ale jeden chiński pluszak, którego możecie zamówić na ali expres za dwa dolce, to równowartość **zakupów za 2400 zł** przy założeniu, że nie macie karty Biedronki (wyrobiłam, a jakże, i pogoniłam koleżankę, żeby KONIECZNIE też wyrobiła) i nie kupujecie owoców i warzyw (osobiście wolę je kupować w innych miejscach, ale **NIE MAM WYBORU** i mam nadzieję, że wystarczająco jasno się wyraziłam). Przy dwójce dzieci to już 4800 zł, a przy rodzinie wielodzietnej to już mi zer po przecinku nie starcza.

Nie wspomnę już nawet o tym, jak na facebookowych grupach już za chwilę zacznie się, niczym handel żywym towarem, masowa transakcja sprzedaży naklejek, a potem samych Słodziaków. Brzydzę się tym i żal mi na to patrzeć, zwłaszcza kiedy pomyślę, ile większość z tych dzieci ma już pluszaków w swoich pokojach. Ale pewnie, zabijajmy się o kolejne.

> *Gardzę sobą jak zatrzymuję się tam specjalnie dla tych naklejek na chińskiego gówniaka za dychę, ale radość dzieci*

> *robi nam sieczkę z mózgu czasem. Moje dzieci to by sprzedały się nawzajem za rysia / bobra / pysia, a L. odchorowuje każde dziecko, które spotka ze Słodziakiem w łapie. Ale gość od marketingu ma tam łeb jak sklep.*

Otóż nie. Gość od marketingu wcale nie ma łba jak sklep. Gość od marketingu nie ma serca i chciałam wprost powiedzieć wszystkim matkom, które są w podobnej sytuacji:

Nie jesteście same.

A Biedronce chciałam powiedzieć: to, co robicie, jest **nieetyczne**. Pompowanie sobie sprzedaży oparte na dziecięcych emocjach jest tak bardzo złe, że brakuje mi słów. Gardzę sobą za każdym razem, kiedy robiąc u was zakupy dorzucam kolejne produkty tylko po to, żeby szybciej zebrać naklejki i odzyskać mój święty spokój i moją wolność wyboru miejsca zakupów i rzeczy, które w nim kupuję. I możecie dać mi dożywotniego bana na zakupy u was, trudno. Jeszcze za niego podziękuję, bo przynajmniej będę miała jak wytłumaczyć dziecku, że słodziaków tym razem nie będzie.

Szukając grafiki do tego wpisu i pointy, którą mogłabym go zakończyć (chociaż w sumie nie ma takiej potrzeby), natrafiłam na **artykuł** na stronie Gazety Krakowskiej. Cytuję:

> *Akcja promocyjna związana z rozdawaniem Gangu Świeżaków okazała się prawdziwym fenomenem. Wiadomości Handlowe przypominają, że zgodnie z badaniem „Brand Equity 2017" Nielsena, 40% ankietowanych odwiedzało częściej Biedronkę po rozpoczęciu promocji ze świeżakami. Ta sama analiza wykazała, że aż 83% respondentów wyrażało zainteresowanie nowymi akcjami tego rodzaju. Biedronka postanowiła kuć żelazo póki gorące.*

Oczywiście, że identyfikuję się z tymi 40%, którzy odwiedzili częściej Biedronkę. BO NIE MIELI WYBORU. Bo dziecko tak skutecznie truło im tyłek, aż nie zebrali naklejek chociażby

po to, żeby nie płacić za pluszowe badziewie 49,90 zł, ile podobno jest warte, tylko chociaż 19,90. A tych 83% nie jestem w stanie wytłumaczyć. Samobójcy, czy co?

Dziecko i antybiotyk – jego cichy zabójca?



Zbierałam się do napisania tego tematu jak sójka za morze. Jakiś czas temu chciałam opisać go ogólnie i czysto teoretycznie. Chciałam opisać moje podejście do antybiotyków i stosunek lekarzy do tego tematu. Do czasu, aż rzeczywistość i dwie choroby mojego dziecka mocno te plany zweryfikowały.

> *„Podanie dziecku przez lekarza antybiotyku jest dla lekarza porażką.”*

– powiedział mi jakiś czas temu **pediatra Łukasz Dembiński**. Gdyby tylko wszyscy lekarze i wszyscy rodzice chcieli się do tego stosować, świat byłby piękniejszy, a koncerny farmaceutyczne ździebko biedniejsze. Ale to tak, wiecie, z przymrużeniem oka.

Dziecko i antybiotyk

Moja historia z antybiotykami zaczęła się na dość wczesnym etapie mojego macierzyństwa. Najpierw były jakieś drobne choroby, przeziębienia. Potem był pobyt w szpitalu i antybiotyk podany „na wszelki wypadek" na, jak się potem okazało, nietolerancję laktozy, na którą, rzecz jasna, antybiotyku się **nie** podaje.

To był moment, kiedy coś mnie tknęło.

Moje dziecko miało półtora roku, poszło do żłobka, **zaczęło więcej chorować**. Kupiliśmy nebulizator, zaczęłam częściej widywać się z pediatrami, z których każdy dawał inne zalecenia. Ale jedno wiedziałam na pewno – antybiotyk traktowałam jako absolutną ostateczność, bo wiedziałam, że każda kolejna dawka osłabi naturalną **odporność mojego dziecka**.

Nie leciałam z każdym katarkiem i kaszelkiem do lekarza.

Zaczynałam od inhalacji solą fizjologiczną, a kiedy zaczynałam mieć poważne podejrzenia, konsultowałam je z lekarzem, za każdym razem pytając o to, czy mamy inne wyjście niż antybiotyk. Często okazywało się, że faktycznie, istnieje inny sposób, żeby zwalczyć chorobę w zarodku nie podając antybiotyku.

Punktem krytycznym był moment, kiedy lekarka na schorzenie

zupełnie niezwiązane z antybiotykiem chciała ten antybiotyk podać. Na moje oburzenie zareagowała łaskawym „Nooo, to może zróbmy CRP…”. No to może zróbmy. Oczywiście badanie wykazało, że żaden antybiotyk potrzebny nie jest. Wystarczyła… maść.

Dlaczego tak bardzo byłam przeciwna antybiotykom?

Wiem, że są rodzice, którzy antybiotyki traktują niemal jak cukierki. Słyszałam o przypadkach, w których rodzic posiada receptę na antybiotyk „na zapas” i już przy pierwszych objawach przeziębienia wykupuje go i podaje od razu, bez konsultacji z lekarzem. Pewnie wielu z was ma takich znajomych i myśli sobie, że skoro inni tak robią, to pewnie jest to świetna metoda.

Być może działanie na krótką metę jest szybkie. Ale w dalszej perspektywie antybiotyk źle wpływa na stan jelit, z których w dużej mierze pochodzi nasza odporność, sprzyja rozwojowi grzybów i zabija dobre bakterie. A ponieważ funkcjonowanie układu odpornościowego opiera się przede wszystkim na odpowiednim stosunku dobrych do złych bakterii (85:15), to łatwo można dojść do wniosku, że bezmyślne regularne podawanie dziecku antybiotyków uruchomi dalsze choroby i kolejne problemy zamiast skutecznie wyleczyć i pomóc. A dodatkowo takie działanie może sprawić, że bakterie w organizmie naszego dziecka po prostu uodpornią się na antybiotyki, co sprawi, że tego typu leki przestaną zupełnie działać. A nie o to nam przecież chodzi.

Powoli zmierzam w mojej historii do końca…

…jednak nie tak oczywistego, jakby się mogło wydawać.

Na wiosnę tego roku moje dziecko trochę pokasływało, ale nie jakoś szczególnie. Nie widziałam żadnych objawów, które miałyby obudzić moją czujność. Pojedyncza temperatura powyżej 38 stopni skłoniła mnie do wizyty u lekarza, który stwierdził zapalenie oskrzeli. Oczywiście nie było wyboru – antybiotyk i dwa tygodnie w domu. Kontrolne badanie wykazało, że zapalenie wyleczyliśmy, dziecko odzyskało siły i przez jakiś czas był spokój.

Aż do kolejnej temperatury.

Równo miesiąc po zapaleniu oskrzeli po raz kolejny zawitaliśmy u lekarki. Dość młodej, ewidentnie z niewielkim doświadczeniem. Od razu zapaliła mi się czerwona lampka. Osłuchowo czysto, lekko zaczerwienione ucho.

> *„Na wszelkie wypadek podamy antybiotyk.”*

NA WSZELKI WYPADEK? Serio???

„Nooo, to może zróbmy CRP…”. Wróciło to do mnie jak bumerang. No to może zróbmy.

Tym razem jednak CRP wyszło grubo powyżej normy, od razu skierowanie do szpitala. W szpitalu wynik badania wyszedł dwa razy wyższy, rentgen wykazał bezobjawowe zapalenie płuc. Tydzień antybiotyku dożylnie w szpitalu, potem jeszcze tydzień doustnie w domu. Przez cały czas, kiedy podawany był antybiotyk, i jeszcze długo potem, podawałam probiotyk. Od tamtej pory mamy na szczęście spokój.

Antybiotyk zabija.

Chcę, żebyście to zapamiętali, i przypomnieli sobie moje przygody, kiedy następnym razem przyjdzie wam do głowy podać antybiotyk „na wszelki wypadek”. Antybiotyk na szczęście nie

zabija dziecka, tylko jego odporność, a już w najmniejszym stopniu nie buduje jej. Ale czasem jest konieczny i z tego też warto zdawać sobie sprawę. Jednak trzeba stosować go z głową, ze świadomością tego, że podajemy go tylko we w pełni uzasadnionych przypadkach.

Co by było, gdybym zgodziła się na antybiotyk „na wszelki wypadek" i w ten sposób leczyłabym u mojego dziecka zapalenie płuc, o którym bym się nie dowiedziała, bo przecież leczyłabym go nim na zaczerwienione ucho? Może bym go wyleczyła. A może trafiłabym do szpitala tydzień później, ze znacznie poważniejszymi objawami. A moje dziecko stałoby się królikiem doświadczalnym. Dziękuję, postoję.

Może masz ochotę przeczytać:

- **5 największych MITÓW na temat kataru u dzieci**
- **Sposoby na odporność dziecka**
- **Glut w przedszkolu wasza mać.**

Zapraszam do grupy mam, w której radzimy sobie, pomagamy i jesteśmy dla siebie przyjazne: **KLIK**. Czekam tam na Ciebie z niecierpliwością! A jeśli spodobał Ci się ten wpis, to polub mój fanpage: **KLIK**. Będzie mi bardzo miło.

---

10 decyzji, których nie żałuję jako matka



Wraz z momentem wyjścia z nowonarodzonym dzieckiem ze szpitala, a nawet dużo, duuużo wcześniej zaczynamy podejmować decyzje, które ważą na jego późniejszym życiu. Jednocześnie żyjemy w czasach, w których każdy daje sobie przyzwolenie na ocenę podejmowanych przez rodziców decyzji, a nawet ocenę tego, że owymi rodzicami postanowili nie zostać.

Gdziekolwiek nie pójdzie się z dzieckiem, cokolwiek się do niego nie powie – jeśli w okolicy są inni ludzie, można się spodziewać jeśli nie komentarza na głos, to przynajmniej ciekawskiego spojrzenia typu „co też ta matka znowu tam sobie wymyśliła”.

Niewielu postronnych obserwatorów zdaje sobie sprawę, że masę decyzji my, rodzice, podejmujemy po omacku i na czuja. Nikt nam nie mówi co będzie najlepsze dla naszego dziecka, sami musimy się z tym zmierzyć. A jednocześnie gdzieś w głębi duszy czujemy, co być może będzie dla niego całkiem niezłe, dobre, a nawet bardzo dobre.

Nie wiem czy wszystkie decyzje, które ja podjęłam dla mojego

dziecka, będą trafione. Ale na dzień dzisiejszy mogę powiedzieć, że tych kilku poniżej nie żałuję. A to już bardzo dużo.

Że nie zdecydowaliśmy się na drugie dziecko od razu po pierwszym

Wiem, że po prostu nie dałabym rady. Długo po porodzie byłam **w bardzo złym stanie psychicznym** i absolutnie nie czułam potrzeby posiadania drugiego dziecka w jakimkolwiek stopniu, a już na pewno nie tak szybko. Kiedy słyszę te wszystkie opowieści o tym, jak wspaniała jest mała różnica wieku między dziećmi, myślę sobie: „tak, wspaniała, pod warunkiem, że ich mamusia tego dożyje…". Serio, to nie było dla mnie.

Że krótko karmiłam piersią

Na ten temat napisałam już **cały wpis**. W obliczu problemów, które napotkałam, żałuję wręcz, że nie skończyłam karmienia piersią znacznie szybciej. A jeśli kiedykolwiek będę mieć drugie dziecko i okaże się, że historia się powtarza, nie podejmę się tego w ogóle.

Że Ignaś od razu spał w swoim łóżku

Moje dziecko spało w kołysce przy moim łóżku przez miesiąc, po czym przenieśliśmy go do własnego łóżka, do własnego pokoiku. Robiliśmy do niego całe kilometry nocami, ale nie żałuję tego, ponieważ nigdy nie było problemu z uczeniem go spania u siebie. To po prostu było dla niego naturalne.

Że moje dziecko bardzo szybko zaczęło spędzać weekendy i dłuższe okresy z dziadkami

Wiele razy wypowiadałam się na ten temat. Zaczęliśmy od samego początku, od kilku godzin, potem weekendów. Pierwszy dziesięciodniowy wyjazd z babcią Ignaś zaliczył w wieku niecałych dwóch lat. Oczywiście nie byłoby to możliwe, gdyby szalona babcia nie zdecydowała, że da radę i że nie ma takiej opcji, że będzie z tym miała jakikolwiek problem. Oczywiście

jak u każdego dziecka, pojawia się tęsknota, ale za każdym razem, kiedy mamy chwile oddechu podczas tych wyjazdów dziękujemy sobie, że podjęliśmy taką decyzję.

Że wróciłam do pracy po urlopie macierzyńskim

Nie wyobrażałam sobie siedzenia na urlopie wychowawczym. Raz, że potrzebowałam wrócić do ludzi, a dwa, że zwyczajnie nie było nas na to stać. Poza tym bałam się tak długiej przerwy w pracy, a potem powrotu i szukania od nowa. Lubię uczucie niezależności bez względu na to, co się w życiu wydarzy.

Że Ignaś chodził do żłobka i chodzi do przedszkola

Mogę śmiało stwierdzić, że moje dziecko nauczyło się dużo więcej w **żłobku** i w **przedszkolu** niż ja byłabym mu w stanie pokazać w domu. Mam tez wrażenie, że przy jego dość trudnym **charakterze uparciucha** dobrze mu robi konfrontacja z rzeczywistością, w której jednak musi się dostosować do pewnych konkretnych zasad. No cóż, ja bywam dużo mniej konsekwentna niż panie w przedszkolu…

Że zaszczepiłam moje dziecko

Trudny temat. Ignaś urodził się **maleńki**, z całą masą skierowań do neurologa i na przeróżne badania. Bałam się go szczepić, ale jeszcze bardziej bałam się nie szczepić. Zrezygnowałam ze szczepionek – kombosów, szczepiłam maksymalnie jednym wkłuciem na wizytę, i tylko w pełni zdrowia (zresztą takie było zalecenie neurologa). Szczepienia zajęły nam dużo więcej czasu niż gdybyśmy mieli je robić zgodnie z oficjalnym kalendarzem, ale dziś wiem, że to była na tamten czas najlepsza decyzja dla mnie i dla niego.

Że zdecydowałam się na poród siłami natury

W czasie mojej ciąży zaistniała możliwość, że będę miała cesarskie cięcie, bo dzidziuś nie chciał się obrócić głową w dół. I w zasadzie, po pierwszym szoku (byłam nastawiona na poród naturalny), bardzo do tej myśli przywykłam. I kiedy

okazało się, że jednak młody zrobił fikołka, nagle ogarnęło mnie przerażenie. Zaczęłam brać pod uwagę cesarkę na życzenie, od której koniec końców odwiódł mnie poród lekko przedterminowy. Dziś jestem z siebie dumna, że dałam radę urodzić siłami natury i bez znieczulenia, którego bałam się chyba bardziej niż samego bólu.

Że urodziłam moje dziecko w momencie życiowej stabilizacji

Wiem, że nie każdy ma tę możliwość i jestem za nią bardzo wdzięczna losowi. Udało mi się zajść w ciążę w momencie, kiedy byliśmy już z mężem po ślubie, mieszkaliśmy na swoim, oboje pracowaliśmy na etacie z umową na czas nieokreślony. To był dla nas obojga duży komfort psychiczny i to sprawiło, że nie stresowaliśmy się w tym czasie żadnymi większymi problemami.

Że w ogóle zostałam matką

Zdarzało mi się, na samym początku, w bardzo ciężkich momentach myśleć, że **tego żałuję**. Jednak na dzień dzisiejszy wiem, że to była bardzo dobra decyzja. Nic mnie tak w życiu nie wystawiło na próbę, nic mnie aż tyle nie nauczyło, nic nie postawiło przede mną tak gigantycznego wyzwania, jak bycie matką. Dziś śmiało mogę powiedzieć, że gdyby nie macierzyństwo, nie byłabym tym, kim jestem i nie byłam tak silna, jak jestem.

To są **MOJE** decyzje. Nie mojej koleżanki, sąsiadki, mamy czy babci, tylko moje. To ja je podjęłam z pełna odpowiedzialnością i jestem z nich dumna. Jeśli Ty podjęłaś inne – to super! Bo to znaczy, że to właśnie było dla Ciebie i dla Twojego dziecka najlepsze. A tak długo, jak jest ono ubrane, najedzone i zadbane, wszystko robisz dobrze. Tak samo dobrze jak ja, jak Twoja koleżanka, sąsiadka, mama i babcia.

Bo dla naszych dzieci to, co robimy i jakie decyzje podejmujemy, to wszystko razem stworzy tylko jedno wspólne, zacierające się z czasem wspomnienie i obraz tego, jak bardzo

były kochane. A na koniec dnia tylko to się liczy.

Może masz ochotę przeczytać:

- **Zbuntowana matka – historia prawdziwa** (o depresji poporodowej)
- **10 rzeczy, których nikt nie powie Ci o karmieniu piersią**
- **Pierwszy rok żłobka – fakty i mity**
- **Przedszkole – prawdy i mity**
- **7 metod radzenia sobie z upartym dzieckiem**
- **Hipotrofia – czym jest i jak ją leczyć**
- **Czy żałuję, że urodziłam dziecko???**

Zapraszam do grupy mam, w której radzimy sobie, pomagamy i jesteśmy dla siebie przyjazne: **KLIK**. Czekam tam na Ciebie z niecierpliwością! A jeśli spodobał Ci się ten wpis, to polub mój fanpage: **KLIK**. Będzie mi bardzo miło.

Ledwo przetrwałeś bunt dwulatka i trzylatka? Poznaj POTWORNE czterolatki!



Budzisz się rano, jest foch i łzy. Wieczorem? Foch i łzy. Nie chce jeść, non stop robi awantury. Nie masz na to siły, jesteś tym już tak bardzo zmęczona… Noworodek? Niemowlak? Nie. Czterolatek.

Myślałaś, że o dzieciach wiesz już wszystko, że już gorzej być nie może. Przetrwałaś przecież **bunt dwulatka** i **trzy(nasto)latka**. I nagle okazuje się, że to, co masz już za sobą, było całkiem miłe. I że to nawet było całkiem słodkie dziecko, któremu bliżej było do niemowlaka niż do starszaka. Bo teraz masz przed sobą bunt czterolatka, przemądrzałej kreaturki, w całej swojej okazałości i w pełni swoich możliwości, która zna Cię aż za dobrze i doskonale wie, jak to wykorzystać. A Ty zaczynasz wątpić, czy cokolwiek, czego do tej pory nauczyłaś się o dzieciach, będzie jeszcze miało zastosowanie.

Do perfekcji opanował sztukę manipulacji.

Bez jednej, najmniejszej choćby łezki potrafi rozpłakać się na zawołanie i najczęściej uzyskuje właśnie to, czego w tej chwili chce. Doskonale zdaje sobie sprawę, że należy to zrobić wykorzystując chwilową słabość przeciwnika – rodzica, czyli

akurat wtedy, kiedy ten jest słaby i zmęczony, czyli najbardziej podatny na sterroryzowanie, i zwyczajnie nie ma już siły stawiać czynnego oporu.

Z łatwością podchwytuje dalekie od nienagannych zachowania swoich rówieśników i przenosi je na domowy grunt. Rozmowy z czterolatkiem to już nie rozmowy. To nieustające negocjacje i szantaże, argumentacja rodzica osiąga poziom ekspert. To czterolatek rządzi, a my jesteśmy zakładnikami jego nastroju. Wie, za jakie sznurki ma pociągnąć, skubaniec jeden.

Spala więcej kalorii, niż jest w stanie przyjąć.

Ale kiedy jest naprawdę głodny, nie zakomunikuje tego, chociaż jego zasób słownictwa jest już naprawdę duży i naprawdę nie stanowiłoby to problemu. On woli zrobić awanturę, będzie się darł i sprzeciwiał wszystkiemu. Aż zje i po prostu mu to przejdzie.

Piękny czas dziennych drzemek powoli dobiega końca.

Dla czterolatka jest to okres przejściowy, który polega na tym, że drzemka zostaje zastąpiona złym humorem, fochem i niezadowoleniem trwającym mniej więcej od godziny potencjalnej drzemki aż do wieczornego pójścia spać.

Aaa, wieczorne usypianie. Oddzielny temat.

Teraz jest to proces, który TRWA. I trwa. I trwa. Od momentu skończenia kolacji, długiego namawiania na kąpiel, jeszcze dłuższego namawiania na wyjście z niej, poprzez odmawianie założenia piżamy, zrobienia awantury o to, że jest bez obrazka, a A ON CHCIAŁ Z PSIM PATROLEM, aż do płaczu, że jest głodny, chce żelka, chce się bawić, chce pić, chce oglądać bajkę. Zwycięstwo objawia się położeniem do łóżka i odcięciem zapłonu. Tak po prostu.

Odpieluchowanie niby już dawno się skończyło.

Ogarnął temat, byłaś z niego taka dumna. I nagle, w okolicach czwartych urodzin, zabawa staje się tak ważna, że siku się nie

chce, nie chce, nie chce, aż… *MAMOOO!!! ZSIKAŁEM SIĘ!!!* Serio?! Przecież pytałam…

Na spacerze zatrzyma się milion razy, przy każdym interesującym go miejscu. Zada milion pytań. A spróbuj tylko się nie zatrzymać.

Nie bierze jeńców.

Nie patrzy na to, co czujesz. Będzie wyć, aż osiągnie swój cel. A potem będzie wyć, bo go osiągnął. Albo dlatego, że wyznaczy sobie inny.

> *Nie lubię mamusi!*
>
> *Nie kocham Cię!*
>
> *Jesteś głupia!*

To tylko kilka pocisków z jego arsenału. Będzie nieustannie testować nasze granice. Wszystko będzie chciał zrobić sam, choćby nie wiem jak długo miało to trwać. Będzie w stanie nieustannej walki pomiędzy słodko-niemowlęcym trzylatkiem a nieco dojrzalszym pięciolatkiem. W chwilach słabości przyjdzie się przytulić, da Ci się pogłaskać po głowie i może nawet dać sobie buziaczka, tylko po to, by za chwilę uciekać przed Tobą, nie dać się dotknąć i znowu się drzeć.

Fucking Fours albo *Fascist Fours*

– tak nazywa się ten wiek po angielsku. I gdzieś pomiędzy heheszkami i grubą przesadą, z którą opisałam ten wiek, jest w tym trochę racji. Jest w tym zmęczenie, bezradność i frustracja. Bo powiedzieć, że dziecko jest w tym wieku **uparte**, to mało.

Spróbujmy to jakoś przetrwać, **spróbujmy się opanować**. Bo gdzieś na horyzoncie czekają piąte urodziny. Może one dadzą nam trochę ulgi?…

Może masz ochotę przeczytać:

- **Jak przetrwać bunt dwulatka i trzylatka**
- **Trzy(nasto)latek – 23 typowe cechy, z którymi na bank się zgodzisz**
- **7 metod radzenia sobie z upartym dzieckiem**
- **Dzień, w którym przestałam krzyczeć na moje dziecko**
- **Jak odpieluchować dziecko w weekend**

Zapraszam do grupy mam, w której radzimy sobie, pomagamy i jesteśmy dla siebie przyjazne: **KLIK**. Czekam tam na Ciebie z niecierpliwością!

Kąpiele w fontannie – czy na pewno wiesz, co grozi Twojemu dziecku?



Mieszkam w Warszawie – mieście, gdzie w każde wakacje dostępnych jest dla dzieci multum atrakcji. Płatnych i bezpłatnych. Również takich, które pozwalają dziecku się ochłodzić, a rodzicom odetchnąć w upalne dni. A mimo to rok w rok, zwłaszcza w te najgorętsze dni, obserwuję chlapiące się w fontannach dzieciaki pilnowane przez zadowolonych opiekunów.

Czy mnie to dziwi? Nie bardzo, bo dość naturalne jest to, że skoro miasto udostępnia wodne przestrzenie publiczne takie jak fontanny, to siłą rzeczy będą do nich lgnąć dzieci. Nie rozumiem, po co tworzy się takie miejsca, skoro nie można z nich korzystać, ale na to nie mam wpływu.

Na co natomiast mam wpływ?

Mogę wam opowiedzieć co w tej wodzie pływa, co grozi waszemu i mojemu dziecku jeśli się w niej wykąpie i co mnie skłoniło do tego, żeby napisać o tym właśnie teraz.

O temacie myślę intensywnie od kilku lat, jednak nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby pochylić się nad nim bardziej. Nie przyszło mi to do głowy do momentu, kiedy natknęłam się na

facebooku na poniższe zdjęcie.



Źródło: fanpage **Hejted – Zielona Góra**

Działa na wyobraźnię, prawda? Tym bardziej boli mnie serce, kiedy przechodząc codziennie koło miejskiej fontanny widzę tłumy kąpiących się w niej dzieci.

Co musimy wiedzieć o miejskich fontannach?

Jeśli kiedykolwiek spotkaliście się z tym tematem, przeczytaliście pewnie, że **obieg w fontannach jest zamknięty**. Co to tak naprawdę oznacza? Ano oznacza to tyle, że raz zapełniona fontanna korzysta cały czas z tej samej wody, w której dzięki kąpielom zwierząt (psów, kotów, ptaków) i bezdomnych (jak widać na powyższym obrazku), resztkom alkoholu wlanego tam przez nocnych imprezowiczów i dziennych piwkowiczów, oraz sinicom i glonom, razem z naszymi dziećmi kąpią się:

- bakterie coli
- bakterie gronkowca
- bakterie salmonelli
- pasożyty
- zarodniki grzybów i pleśni
- szkodliwe dla zdrowia środki chemiczne

Wspomniane środki chemiczne służą oczyszczeniu wody w fontannie, ale nie jest to takie oczyszczanie jak w basenach. Nie służy ono bezpieczeństwu człowieka, zwłaszcza małego, którego układ odpornościowy jest jeszcze za słaby w zderzeniu z atakiem tego typu środków. Czystość fontann często sprowadza się do efektu wizualnego. Woda w nich nie jest uzdatniana i dezynfekowana, nie podlega też kontroli Sanepidu, ani żadnej innej kontroli.



Fontanna na placu Europejskim w Warszawie

Nie tylko picie wody z fontanny zagraża zdrowiu, lecz także jej kontakt ze skórą.

Odpowiedzialność za stan fontann, za oficjalny zakaz kąpieli w nich lub jego brak spoczywa na zarządcach i właścicielach obiektów. Jeżeli świadomie kąpiemy się w miejscu, w którym regulamin tego zabrania, możemy zapłacić **karę do 250 zł**. Może ją na nas nałożyć straż miejska zgodnie z art. 55 kodeksu wykroczeń.

Są miejsca podobne do fontann, w których dzieci mogą się śmiało pluskać, ponieważ takie jest ich przeznaczenie. W upalne dni w wielu miastach stawiane są kurtyny wodne, budowane są wodne place zabaw oraz tak zwane „pluskowiska". W Warszawie można je znaleźć przy Multimedialnym Parku Fontann na Podzamczu oraz przy skwerze Grzegorza Ciechowskiego na Targówku. Trochę dalej, ale nadal w okolicy Warszawy, mamy dwa wodne place zabaw, **w Błoniu** i **w Grodzisku Mazowieckim**. Jeśli chodzi o zbiorniki wodne, kapiele dozwolone są w Jeziorku Czerniakowskim i w Zalewie Zegrzyńskim. W lecie otwartych jest wiele otwartych basenów i kąpielisk, więc naprawdę jest w czym wybierać.

A na koniec wisienka na torcie.

Zadałam sobie trud spisania chorób, które mogą być konsekwencją kąpieli w fontannie. Niech ta lista zadziała na waszą wyobraźnię. A jeśli na własnej skórze doświadczyliście nieprzyjemności będących konsekwencją kąpieli w fontannie, **napiszcie do mnie**. Może razem uda nam się zbudować większą świadomość olbrzymiej szkodliwości, jaką to za sobą niesie.

- podrażnienia skóry
- wysypki alergiczne
- biegunki
- choroby układu pokarmowego
- choroby dróg oddechowych, w tym ostre zapalenie płuc
- zapalenie spojówek
- zapalenie uszu

- grzybice stóp
- choroby odzwierzęce
- stany zapalne skóry
- zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych

Mam nadzieję, że przemówiłam do waszej wyobraźni. **Będę wdzięczna każde udostępnienie tego tekstu**, ponieważ napisałam go nie po to, aby przekonywać osoby, które doskonale to wszystko wiedzą, ale aby dotarł do tych, którzy tej świadomości nie mają.

Źródła, którymi posiłkowałam się zbierając informacje, i w których przeczytacie więcej na ten temat:

edziecko.pl; **parenting.pl**; **dziecko.trojmiasto.pl**; **tustolica.pl**; **metrowarszawa.gazeta.pl**; **nowosci.com.pl**; **elblag.eu**